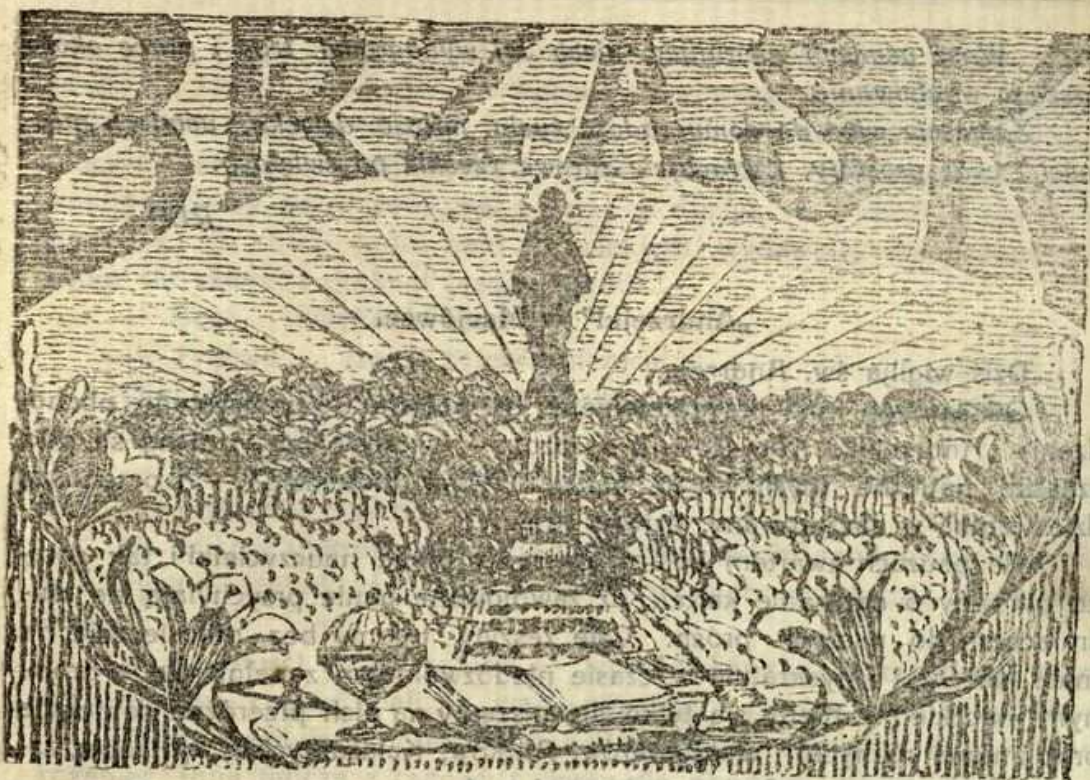




PRENUMERATA ROCZNA 2,50 z PRZESYŁKĄ 3 zł.

Dwumiesięcznik uczennic Seminarjum Nauczycielskiego w Marjówce.

OD REDAKCJI.

Zanim rozjedziemy się na święta, Brzask chce Wam Dr. Kol. złożyć życzenia, chce do serca każdej z Was przesłać promień świetlany, abyście go zaniósły do Waszych rodzin, dla Waszego Tatusia i Mamusi. Z Waszym przyjazdem do domu niech wszystko pojaśnieje, rozraduje się, niech Wasza czysta świadoma radość życia udziela się otoczeniu, nawet tam, gdzie będą niewygody, gdzie trzeba niejedno znieść. Podczas świąt, kiedy o lekcjach nikt nie myśli, nieście wydajną pomoc Waszym matkom, dajcie przykład młodszym i starszym, że wiadomości szkolne nie nadęły Was pychą, ani nie wysuszyły serca. Owszem, niech każda z Matek, wpatrując się w Wasze oczy, dostrzeże w nich dawną niezmienną wiekiem prostotę duszy, głębię uczucia i serdecznego dziecięcego przywiązania i mi-

Łości. Wasz uśmiech czarujący niech Jej wynagrodzi trud i pracę około waszego wychowania.

Zanieście więc do domu radość życia, miłość dziecka, uśmiech młodości i czar prostoty, i wracajcie zdrowe, rześkie po świętach.

RED.

„Andrzejki” w Marjówce.

Dziś wigilia św. Andrzeja.

Od samego rana przygotowujemy się pocichu do uroczystego obchodu „Andrzejek.” Nawet — o zgrozo! — w czasie lekcji cisną się pod czaszkę natrętne myśli: co to będzie? — jak to będzie? — i przenoszą dziewczątka w zaczarowany, dziwny kraj...

Na pauzach zwałem kołem otaczamy panie nauczycielki i tak gorąco prosimy o napisanie kartek, aż zawojowane panie przychylają się z uśmiechem do naszych prośb. Całe zeszyty tniemy bez miłosierdzia na małe karteczki i dyskretnie w czasie niedozwolonym zapelniamy je drobnym maczkiem. Kiedy się tylko da, piszemy na nich przeróżne sentencje oraz imiona różnych: Waldemarów, Antków, Kalasantych, Cyprjanów, zawody: kominarzy, szoferów, stolarzy, i t. d.

Wreszcie po „wykuciu” lekcji „na cienką blaszkę” rozpoczynamy gorączkowe zabiegi. Przedewszystkiem część towarzystwa udaje się na poszukiwanie wosku. Myszkuje biedactwa po całej sali fizycznej, lecz los kpi z dobrych ich chęci, więc wysyłamy delegację z odważnych do kościoła, bo przecież tak czy owak, wosk być musi.

Tymczasem reszta dziewczynek czatuje na stosowną chwilę aby „buchnąć” z kuchni (na ten tylko wieczór) sporą paczkę zapalek i świec. Inne starają się o miednicę z wodą, talerz, pierścionek i t. d. Z nadmiaru radości oblały zimną wodą którą zapracowaną i ściągnęły na siebie pobożne życzenie: „żebyś całe życie tak latała.”

„Straż,” złożona z klasowych „sokolów,” dojrzała przez okno powracającą delegację i pędzi na zwiady. Wybiegamy i my wszystkie za nią, wołając jedną przez drugą: no i co? — dawajcie prędzej — bo już czas zaczynać, zaraz panie przyjdą.

Lecz gdyśmy spojrzały na melancholijno-zrozpaczone miny delegatów — domyśliłyśmy się strasznej prawdy: wosku niema! — Ha! Niema, to trudno. Też, macie się czym przejmować, uszy do góry i naprzód, marsz do dzieła! Niech które idą poprosić panie, ja lecę po koleżanki i zaczynamy. —

Gdy całe audytorjum było już zgromadzone, przewodnicząca wróżb, (która, mówiąc nawiasem, nie wiele więcej posiadała kwalifikacyj na ten,

zaszczytny urząd od pierwszej lepszej z nas), kazała zgasić światło; o dezwalało się kilka „veto,” ale pod wpływem surowego wzroku dziewczynek — umilkło. Z bijącemi sercami (ale broń Boże, nie ze strachu, co znowu!) otoczyłyśmy wiankiem oklejoną kartkami miednicę, i błyszczącemi oczyma wpatrywałyśmy się w świeczkę, pytając w duchu, — a może moją kartkę podpali? Po chwili, która nam się wiekiem wydawała, nikły płomykczek lekko się skłonił i dotknął brzegu kartki...

— Ach!... krzyknęła któraś.

— Zygryd — rzekła przewodnicząca.

Ojej, żeby tak kartka mego Wojtka zapaliła się — wzdycha inna — co ja bym zato dała! —

— No, a teraz dajcie talerz, zapalimy papier, zobaczymy co to będzie, ale odkręćcie światło. —

Na ścianie ukazują się cienie karykatur, jakichś tajemniczych postaci w których wróżbiarki dopatrują się charakterystycznych rysów swych bohaterów.

— Na litość co wy robicie — jęczy ciekawska, która chciała pierwsza zobaczyć, co się upali, — wcale nie pragnę mieć popiołu na głowie. —

Potem zgadujemy, czem która będzie. Jedna rozpacza, że wyciągnęła różaniec, inna tańczy z radości i cieszy się okrutnie, bo ma pierścionek. Wtem odezwał się dzwonek na pacierz — zabawa skończona — Rozbawione grono figlarnych uczennic spoważniało. —

Ach, jaka szkoda, że tak prędko. Rade nierade musimy się z losem pogodzić...

A po pacierzu rozmarzone składamy stosy kartek pod poduszkę i udajemy się na spoczynek.

Kresowianka.

Marzenia przedświąteczne.

Święta! — Już tylko trzy tygodnie, już tylko dwa — już dziesięć dni — zaledwie do nich. Cóż z tego? — przecież święta są często, więc dlaczegoż taka radość? Tak, święta bywają często, ale te posiadają szczególny jakiś urok, coś tak odrębnego od innych świąt, a zresztą — będzie się w domu. „W domu” — jak to dziwnie brzmi, — jak rozmarza... Na dźwięk tego wyrazu zaczynają mi się przesuwać przed oczyma różne obrazy. Przedewszystkiem pierwsze powitania po przyjeździe, potem — pokój jasno oświetlony, na środku stół, zastawiony różnemi potrawami, a przy nim zebrana rodzina, — to wigilia, potem — choinka zawieszona świecidełkami, ścieg złotych nitek, łakociami, no — i upominkami; koło niej siedzi brat bawiąc się otrzymanemi zabawkami, w głębi salonu inni członkowie rodziny. I wiele, wiele innych obrazków tym podobnych przesuwa mi się przed oczyma, a wszystkie takie miłe, tak tchnące serdecznością. Lecz

czuje, że te obrazy niegdyś witałam inaczej, dawniej były one jakieś miłe, jakieś więcej swojskie, a dziś... —

Ta myśl, że one są dziś inne, przychodzi mi tylko wtedy, gdy jestem smutna, lecz myśl taka nie powinna trwać stale, bo... bo mąciłaby mi pozostałe wspomnienia.

Chwilami zajęta takimi kłopotami jak: co zrobić mamusi, co tatusiowi, co temu, co owemu, wzdycham: „ach żebym tak była w mieście i żebym miała bardzo dużo pieniędzy, tobym mamusi kupiła... (tu następują wyliczenia, co komubym kupiła). I już zdaje mi się, że jestem w jakimś dużym mieście, w którym panuje przedświąteczny ruch, przechodnie snują się po trotuarach, od czasu do czasu słychać dźwięk janczarów, a ja kupuję różne drobiazgi.

Te marzenia niemal dzieciinne, bo dzieci właśnie tak marzą, że gdyby miały pieniądze kupiłyby to i to, że dla mamusi wybudowały „złoty domek“, i inne jeszcze wzniosłe projekty snują się po dziecięcych głowinach. Może być, że u mnie te marzenia są to odbicia marzeń z wczesnego dzieciństwa.

Są wieczory takie, kiedy nie mogę usnąć. Leżąc, myślę o tem i o owem. Wtem przypominam sobie zdanie z jakiejś książki niegdyś czytanej „...dźwięczą dzwonki, dźwięczą wkoło... —” W myśli szumi mi to ciągle. „...Dźwięczą dzwonki, — dźwięczą dzwonki” — przedstawiam sobie napółświadczone sanki, dźwięczą janczary, zadymka, wyiskrzona niebo... — „Dźwięczą dzwonki” — ach, jak ślicznie dzwonki dźwięczą!

Zaczynam zasypiać i znowu się budzę. Co to? — gdzie ja jestem? — gdzie dzwonki, sanki, zadymka? — Już znowu słyszę metaliczny dźwięk dzwonek, widzę wyiskrzona niebo, spadające płatki śniegu... Ach, jak ślicznie, jak ślicznie!... Boże Narodzenie... zadymka... sanki... dźwięczą dzwonki, dźwięczą coraz ciszej, ciszej i — milkną... — I ja też pod wpływem tego marzenia usypiam.

Nadzieja.

CZEMU?..

Czemu na świecie tak źle się dzieje?

Czemu zgorznienie wśród nas się sieje?...

Czemu? — ach, czemu niema szczerości?...

Czemu? ach, czemu niema miłości?...

Takiej promiennej jak blaski słońca

Za którą tęsknię, tęsknię — bez końca!...

Czemu na świecie tyle cierpienia?

Czemu drży serce, szuka wytchnienia?

A oczy smętne patrzą dokoła,

A rozum czarne myśli wciąż woła.

Czyżby źle było żyć wśród radości,

Wśród uczuć szczęścia i życzliwości?...

Czemuż to tyle fałszu na świecie,

Nawet u ludzi, mających przecie

Pojęcie dobra, krytycyzm w duszy?

Czemu się takich serc nie wzruszy?...

Czyżby tak lepiej było na ziemi —

Żyć wśród obłudy czyny niecenimy?...

Kto mi odpowie na te pytania?

Ale niech pchni, co znaczą drgania.

Co dążą ciągle do ideału —

Lecz sny przyskają... O, sny zapeli!

Czemu, ach, czemu się nie ziściacie

I serce moje ciężko ranicie?...

Wichura.

Śnieżny pletek.

Wędrowałem długo, nim tu przybyłem.

Zwiedzałem dalekie krainy jasne, pełne szczęśliwych uśmiechów, pełne słodkich snów i pieśni.

Widziałem wiele... Szerokie rozległe przestrzenie cudnych marzeń, fantastyczne wizje dziewiczych wspomnień, złożonych w skry, ubranych w biel, spowitych w bezmierną słodycz i żal...

Widziałem ulotne sny, łudzące swym czarem dusze, a potem widziałem długie nici tęsknot, śmiejących się we mgle, powstałe z rzeczywistych wypadków. I dobrze mi było tam w tych jasnych krainach, i ciepło, i radośnie.

Początkowo byłem, jako zew niewidzialny. Stopniowo zacząłem przywdziewać puchową lekką srebrzaną szatę, wznosić się w obłoki i kryć w nich, wreszcie, w pewne złociste popołudnie gwiazdkowe moje płórka rozwinęły się: — z miljonem braci moich miałem wtedy spaść na ziemię.

Okryła natura swym płaszczem świat! Drzewa, kwiaty, ziemia wreszcie cała zaczęła powoli zasypiać i śnić o lepszej dla swych synów doli. Ustał nawet ostry mroźny wiatr; widać było tylko delikatne drżenie gałązek brzoź, ubranych w puszysty gwiazdkowy szron, który je w swych objęciach utulał. W powietrzu było cicho, uroczyście, tak, jak przed przybyciem wielkiego, oczekiwanego gościa.

I rzeczywiście oczekiwany gość ukazał się wkrótce rojem białych; w nieładzie rozproszonych puszków, spadających obficie z szarych ocieślonych chmur.

... Posypały się puszyste śnieżne płatki na pola, lasy, ogrody, drzewa. A każdy z nich niósł z sobą przedziwną jasną biel i siał srebrzyste skry na szeroki polski kraj.

Wśród tego rojnego grona białych współbraci ozwał się jeden cichutki, dźwięczny słodki głos: Biegniemy tu do ciebie, Karmicielko ziemi

miła, ukochać cię jak matkę, czuć, ucałować spracowane dłonie twoje, ogrzać naszem ciepłem, utulić... Bo choć w krainach naszych szczęścia jest moc, to jednak, tęsknota za tobą wciąż nas gna, bo na twojej matczynej troskliwej piersi jest najcieplej i najrozkoszniej...

O pójdz do mnie, biały ty płatku mój, pójdz,
Nauczysz mię kochać mą ziemię
I o niej śnić.
Choćby to ciężkie było brzemie, ty mi to powiesz
Jak trzeba kochać mą czarną ziemię
I dla niej żyć.

I przybiegł śnieżny płatek i zanucił cichą, dźwięczną pieśń i opowiedział dzieje miłości i czci dla Boga, ziemi, ludzi... A dusza podchwyciła nutę śnieżnego płatka, aby ją śpiewać dla tych, których miłować trzeba...

Tymczasem mrok opanowywał już powoli Matkę-ziemię. Na niebo wysuwało się tysiące błyskliwych światełek złośliwych; przed oczyma iskrzyły się migoczące skry. Lekki wietrzyk poruszał białymi drzew gałązkami, a śnieżne płatki wciąż padały, padały...

Paź.

Przygody myszki.

Mysz! mysz! mysz! moje ciastka!...

Słoszona tym krzykiem wyskoczyłam szybko z pudelka, leżącego na szafie — i mignawszy między nogami łóżek, skaczących i krzyczących dziewczynek wsunęłam się do dziurki w podłodze sypialni i oblizałam się szeroko wilgotnym językiem.

...Dobre było... pyszności ciastka, dobre... No, ale ładna historia. Ta mała sroczka — Stasia, tak pisała i skakała, że o mały figiel nie przydepnęła mi ogona. Ale im strachu narobiłam! hi! hi! hi! ale z tym ogonem to poważna historia. Trzeba będzie się mieć na baczności, bo w żadnym towarzystwie nie będę się mogła pokazać.

— Noc... cisza, no, teraz śmiało mogę dokończyć swoje ciastka — tak myśląc, biegłam szybko do szafy.

— Niedomknięta — to dobrze. Przesuwam się koło stosu książek, które niegdyś nadgryzałam, ale co one tam warte... Stara algebra, gruba gramatyka nie mają ani dziesiątej części tego uroku, co pudło ciastek — a wiem to dobrze od uczennic, które może tylko w tym punkcie zgadzają się całkowicie ze mną. Ale co to? Cóż za niemiły zawód — pudelka z ciastkami ani śladu w szafie. Obiegnę ją jeszcze raz dokoła. Gdzie tam! Ach, wiem już. Napewno p.w. ychowawczyni kazała małej Hali wynieść paczkę do spiżarni. Ale coś zalsniło się. A, to jedwabne guziczki nowej sukienki Zosieńki... A... jakie smakowite. Urażywszy się porządnie porcją guziczków, wyskoczyłam z szafy. W poszukiwaniu innej jakiejś zdobyczy obiegnę

całą sypialnię, przewracając po drodze pantofel Ewci i nic nie znalazłam. Na taboreciku między pudełeczkami Adeli leżały resztki cynfoli z czekolady, ale napróżno podrzucałam szeleszczący staniol — nic nie było. Pisnąwszy, wbiegłam między jakieś ciepłe okrycia i przeleciałam wzdłuż ręki leżącej tam dziewczynki. Wieki Boże! Cóż się dzieje!

Usłyszałam nagły przeraźliwy krzyk: mysz! mysz! (a nawet „mysza”) i za chwilę cała sypialnia zakotłowała się. Co żyło, ruszyło się w panicznym przestachu. Przez chwilę oszolomiona stałam na środku pokoju, patrząc, jak przerażone dziewczynki, szcękając zębami, trzesły się na oknie, dokąd uciekły przede mną, inne biegały w kółko, nie wiedząc, jak się uchronić przed widmem myszy, jakbym była jakimś strasznym smokiem.

— Jest! jest! — usłyszałam pisk i oprzytomniawszy, zerwałam się do ucieczki. Napróżno wśród łomotu przewracanych stołów rozpoczęłam ucieczkę przed jakąś okropną postacią o roztrzepanych włosach. Ile razy zbliżałam się ku oknu, cały pokój rozbrzmiewał krzykami: Oj! oj! leci! leci! Gdy biegłam w przeciwną stronę — robił się taki rumot i alarm, że wkońcu nie wiedząc, gdzie się podziać — wpadłam prosto w rozstawione ręce potwora o roztrzepanych włosach. Oszolomiona ugryzłam z całej siły rękę dziewczynki, nazwanej przez inne „bohaterką” i za chwilę, wpuszczona do blaszanego pudelka napróżno starałam się uciec. Nic nie pomogło. Zmęczona usiadłam na dnie i usłyszałam, że w sypialni trwa narada: „co zrobić z myszą”. Słyszałam przez szcęknięcie zębów, jak jedne radziły nad zatruciem, inne nad wpuszczeniem do stołowego w czasie śniadania pań, wreszcie wszystkie zgodziły się jednogłośnie na projekt wypuszczenia myszy w czasie lekcji przyrody.

— Marysiu, ty wypuścisz, a my na dany znak będziemy wszystkie goniły ją! Urwie się kawał lekcji. — Rozradowane pomysłem załatwieniem sprawy, dziewczęta powoli uciszały się i tylko jeszcze od czasu do czasu słyszałam luźną uwagę, lub utyskiwania:

— Zebym też jaka mysz wygryzła moją dwójkę w notesie p. Janiny — albo moja!...

Wreszcie wszystko ucichło. Serce mi się tłukło, ale próżne były wszystkie wysiłki w celu uwolnienia się z więzienia. Zmęczona opadłam na siłach i nie słyszałam nic do chwili, kiedy uczułam się uniesioną w górę z pudelkiem i przeniesioną, gdzie — nie wiem.

Słyszałam dzwonki, potem jakiś śpiew. w końcu zrobiła się cisza, w której słychać było miarowe głosy powtarzających gramatykę — dziew: czynek, a wreszcie słowa, które wywołały w klasie stłumiony efekt. „Dziewczynki źle odmieniają rzeczownik — mysz — Danusiu, proszę mi to odmienić”.

— Jeszcze mysz! usłyszałam jęknięcie koło siebie.

— Moje guziczki... — westchnęła Zosia.

— Moje ciastka... — doleciało mi do uszu. Z innej strony usłyszałam stłumiony śmiech i porozumiewawcze chrząknięcie. — „Mysz, mysza, myszy, mysie...”

— Co ty mówisz Danusiu? Jeszcze raz: mianownik mysz — nie mysza. Ach, te myszy, te myszy... rozległo się zgodne westchnienie. Nareszcie pauza.

— Teraz przyroda! usłyszałam wołanie i serce zabiło mi gwałtownie.

Maryśka, puść w porę, a daj znak, jak już będzie wyskakiwać, to...

Dzwonek. Słyszysz głos: Dziewczynki, dziś omówimy... „Już?” słychać szept stłumiony. „Już Maryska?”

Czuje, że wieczko mojego więzienia uchyla się cichutko. Czekam chwilke, a potem smyrę, smyrę i z bijącym sercem wskazuję za książki, potem w szal, leżący na krześle. Ogarnia mnie uczucie ogromnej ulgi, ale za chwilę słyszę gwałtowne stukanie pustym pudełkiem i przetrząsanie stolika. „Mysz ucieka!” — woła z determinacją Maryska. Po okrzyku grozy następują oburzone okrzyki, ruch, z czego korzystając, wymykam się przez uchylone drzwi.

— Moje ciastka, moje serdelki, a moje guziczki, a dwójka z gramatyki! Niech no się tylko pokaże jeszcze raz! Aha! niema głupich — pomyślałam, oblizalam się jeszcze raz czerwonym języczkiem, rozejrzałam bystreimi lśnięciami oczkami, poprawiłam sobie miękkie aksamiłne, popie late futerko i ruszyłam po nowe przygody...

Mysz.

„JESZCZE JEDEN MAZUR DZISIAJ”

(Obrazek z życia internackiego).

Dzyń! dzyń! dzyń... Siarczyście zadzwonił nasz Piotruś. (tak ochrztyliśmy nazw dzwonek pod wpływem Syrokomli). Chwila ciszy, potem drzwi wszystkich klas otwierają się gwałtownie, korytarz i schody napelniają się ruchliwą falą roześmianych dziewcząt. Jedne znudzone schodzą powoli. — Już kolacja, a lekcje jeszcze w lesie —

Inne uśmiechnięte skaczą gromadkami po trzy schodki i wciągają nosem smakowite, dolatujące z kuchni, zapachy kaszki. Potem jeszcze „kapnie” *) jedna, dwie, jakaś zbyt pilna, lub zbyt leniwa i cisza...

Za chwilę z jadalni dolatuje dźwięczny głosik małego (tego, co nas rano budzi) Pietrzyka, następują słowa modlitwy, a potem stłumiony gwar...

Na górnych korytarzach cisza. Z kąpki wyleciała popielata myszka, stanęła na dwóch łapkach, rozejrzała się czarnymi lśnięciami oczkami.

... Hi.. hi.. hi! doleciało skądś przytłumione echo śmiechu. Myszka skoczyła w bok i zniknęła pod koszem Maryni.

... A między pałtami w głębi szafy narada...

— Dziś w nocy? —

— W nocy!!! Bajecznie.

— Jaką płytę?

„Bo miłość to jest cudny kwiat!...”

Ee.. e. Nie. Coś żywszego.

No co?

Arję z „Halki”, odświeżymy im wspomnienia.

I.. i. i, takie sentymenty.

*) Tak nazywamy pojedyncze schodzenie się na głos dzwonek

Achl coś lepszego mam! pisał sopranik.

I trzy dziewczęce główki, pochylone ku sobie, szepczą coś tajemniczego.

Noc. W całym domu dzwoniąca w uszach cisza. Sympalnie pograżone w głębokim śnie. Spokój. Na szybach witraże fantastycznych, srebrnych kwiatów, wymalowanych ręką najwspanialszego malarza Mrozu-staruszka, zalane subtelnie, seledynowym światłem księżycowym, nabierają blasku i życia. W słabym mroku rysują się niewyraźnie, wśród białej poduszki ciemne główki śpiących pensjonarek. Czasem ciszę przetrwie lekuchne westchnienie, lub zamykający któraś sennie: „Zeus... a... nie... Mars bóg wojny... umiem, proszę pani, oo.. ja umiem!!

— Oh! la leçon qui n'est pas sue — dolatuje z drugiego końca sypialni. Cisza.

Stachna, śpisz?... słychać przytłumiony szept. Cisza.

Maryska, śpisz?... pyta już nawpół płaczliwie cienki głos.

— A to śpiochy, ja jedna wytrzymałam.

Za chwilę jasiek, rzucony w kierunku pobliskiego łóżka, budzi zasnęłą szatynkę. Po sekundzie zwinęty w kłębek szlafroczek, puszczonej w tym samym celu, trafia prosto w twarz śpiącej w drugim końcu Stachny.

Jeszcze śpicie, nie wstyd wam?

Stachna coś tam marudzi na łóżku, przeciera zasnęte oczy, ale potrząśnięta przez energiczną Ziutę, otwiera gwałtem klejące się oczy.

Za chwilę, po krótkiej naradzie, odybytej na łóżku Marysi, zupełnie już zbudzona Stachna, potrząsając czuprynką, dusząc się, wypycha głowę pod poduszkę, żeby nie zbudzić sypialni głośnym śmiechem. Czasem tylko doleci stamtąd gwałtownie tłumiony paroksyzm chichotu. Po sekundzie dwa cienie, dławiąc się i zataczając od niepowstrzymanej fali śmiechu, skradają się do stojącego na środku stolika, na którym rysują się niewyraźne kontury tuby gramofonowej. Chwila jakichś szelestów i raptem, dudniąc bosymi piętami, ciemne postacie wpadają pod koldry. W ciszy nocnej rozlega się za nimi po całej cypialni ogniste, dziarskie „Jeszcze jeden mazur dzisiaj!!!”

Efekt wprost nieobliczony.

Pierwszy takt mazura postawił na równe nogi nawet te największe śpiochy. — Co to? Kto? Co się stało? Jak? Najgłośniejszy i najbardziej oburzonym tonem krzyczy Stachna. — Też dowcip! —

— Myślałam, że palpitacji serca dostanę — woła Ziuta. —

— Wesele? wesele? pytają nieprzytomne głosy.

Marysia próbuje podstawić nogę jakiemuś zirytowanemu krzykaczowi, biegnącemu zatrzymać patefon. Ze wszystkich stron po pierwszym wrażeniu dolatuje jeden ogólny śmiech.

Nad całem zamieszaniem góruje płynnie, a siarczyście:

„Lube dziewczę, porzuć smutki

Zatańczym mazur!!!”

„Hultajska trójka”

L. C. L.

DO ŚMIECHU!

Oj, śmiechu, ty śmiechu weseła,
Śmiechu, jak kwiat,

Co na ust koralu wystrzela

I cieszy świat...

Ty plyniesz srebrzystą kaskadą

W beżmierną dal...

I dźwięczysz młodości sił swadą,

Jak drżąca stal...

Oj, śmiechu, ty śmiechu młodości,

Śmiechu jak czar,

Bo chociaż w mej duszy żal gości

Straconych mar...

I rozpacz mi w piersiach kołacze

W płacziwy jęk...

To cieszy me serce prostacze

Twój śmiechu dźwięk...

Es.

DZIEJE POLSKIEJ KSIĄŻKI.

W klasie gwar, wesoło. Już po pauzie, Stenia z Lesią chowają zdjęcia klasowe, z których zaśmiewały się całą pauzę, Baśka kończy reperację swego aparatu fotograficznego. Z sali wraca rozbawiona gromada uczniów, zadowolonych z wygranej partii piłki siatkówki. Ruch, gwar. We drzwiach ukazuje się p. Irena z notesikiem w ręku. Jeszcze chwila wesołych śmiechów i cisza.

— Dziś, dziewczynki, z powodu święta polskiej książki opowiem wam jej dzieje. Zasługuje na to całkowicie i zaraz się przekonamy, jak godna jest takiego uczczenia. —

Przed oczyma naszymi przesuwa się szereg barwnych, jak w kalejdoskopie, obrazków.

— Ach, Sławek znów źle rozrobił farbę... — mruczy ojciec Bazyli, mieszając czarny inkaust w małej miseczce.

Nad pergaminem pochyla się siwiejąca głowa, zagięty długi nos, na którym spoczywają wielkie z czarną obwódką okulary. Pędzelek cicho su-

wa się, a suwa, znaczy czarne zygzaczki na grubym foljale. Zachodzące słońce rzuca przez okragłe, oprawne w olów okno ostatnie różowe blaski, które padają jasną smugą na słupy, podpierające strop wielkiej biblioteki klasztornej, na szerokie szafy, w których za tajemnymi zamkami leżą równo, rzędem wielkie, bogato oprawne księgi — owoc mrówczej pracy zakonnej, na zwój zapisanych pergaminów, leżących koło stolika i na ten ostatni, zapisywany pracowitą ręką.

— Jeszcze tylko inicjały... — szepczą pomarszczone wargi, a w półmroku czernią się misterne znaczki: „U twego syna gospodzina matko swolena Maria” —

Pędzelki, zanurzone w złotej i purpurowej barwie, wkrótce pięknymi esami — floresami ozdobią koronkowy rysunek pierwszej litery. A w spokoju ascetycznego średniowiecznego klasztoru

„Bernardyńska cicha praca

„Pergaminowy skrypt wzbogaca.

W komnacie zamkowej, przy rzeźbionym kominku, którego refleksy budzą żywe barwy na starych gobelinach, siedzi w głębokim fotelu pan zamu — Jan z Czehla, który niedawno wrócił z Krakowa i opowiada dziwy, jakie zasłyszal na dworze królewskim. Piękna, o regularnych rysach, twarz siedzącej naprzeciw pani domu, wyraża zaciekawienie i podziw. Dwoje jasnowłosych chłopiat, siedzących nisko u stóp matki, zgrabny w obcisłym ubraniu w ponsowe i seledynowe pasy, pazik, parę młodych dwórek, stojących za panią i dworzan — za fotelem pana — nie spuszczaają oczu z niego. Ten ruszył się tajemniczo:

— ... A teraz największy dziw wam powiem. Oto słyszeliście wszyscy, że już od lat kilkunastu imię Gutenberg w Niemczech wymyślił, jak można prędko, a wyraźnie drukować książki, i jedną taką księgę, kupioną od pewnego uczonego magistra, prócz złotogłowiu i krasnych bławatów z bazaru od Turków, w upominku tobie, moja najmilsza, przywiozłem — rzekł, podając ze stołu dużą, ciężką księgę.

— Mało ich jeszcze, ale mnożą się ciągle. W tej są najcenniejsze utwory Jana z Czarnolasu. Będzie to pierwsza drukowana książka w bibliotece zamkowej — dodał i wśród ciszy, przerywanej tylko trzaskaniem żywicznych kłód sosnowych, otoczony głowami niewiast, dworzan nawet modrookich chłopiat i pania czytał uroczystym głosem:

„Czego chcesz od nas Panie

„Za Twe hojne dary...

W Collegjum Nobilium ruch i gwar. Korytarzami snują się młodzi chłopcy, lub przejdzie czasem wychowawca — pijar o poważnej ascetycznej twarzy. Wesoła gromadka uczniów, idąc na godzinę fechtunku, opowiada sobie świeżą wielką nowinę.

— Wiecie wszyscy, jak król Stanisław August Poniatowski ceni ks. Konarskiego i nasze collegium. Dziś w dowód swej życzliwości przysłał swego szambelana z pięćdziesięcioma książkami najcenniejszych dzieł ostatnich stuleci.

zeniach. Nazajutrz zwiedzamy Gdynię. Gdynia doniedawna cicha osada, dziś miasto portowe w budowie, mające przed sobą świetną perspektywę, jako jedyny port, jako okienko na morze, przez które może nas zobaczyć Europa. Niema tu coprawda naturalnej przystani, jak np. w Gdańsku, ale i temu zdołano poradzić, wyzyskując jako port ujście potoku Chylońskiego, a przez budowanie moli uczyniono go zacisznym i mogą wygodnie tam zawijać okręty. Jeżeli weźmiemy pod uwagę, z jakim nakładem pracy i pieniędzy odbywa się budowa portu, wówczas zrozumiemy, jak doniosłe ma on znaczenie. Ilekć pracy wymaga budowanie molo (Molo jest to jakoby wał, wrzynający się w morze). Powstają one przez zatapianie odpowiedni sposób cementowych kessonów, zbudowanych już uprzednio na lądzie i zepchniętych do morza przy pomocy dragi albo pogłębiarki, której działanie polega na wybieraniu i odrzucaniu ziemi z pod owego kessonu, skutkiem czego ten ostatni zsuwa się do morza. Nato, żeby powstał taki wał, wystający nad morze, trzeba nieraz kilku takich kessonów. Państwo jednak podejmuje tę pracę, aby mieć choć jeden dogodny port.

Gdynia leży w dolinie Chylonki, ograniczonej z północy zachodu wznieśmieniem, noszącem nazwę Kępy Oksywskiej z szerokim widokiem na morze, oraz Kępą Radłowską z południo-wschodu.

Miasto to robi bardzo przyjemne wrażenie. Na każdym kroku widać pracę, ruch, postęp, życie. Tu i ówdzie wśród pysznej zieleni białe wille uśmiechają się wesoło do przechodnia. Bogate wystawy burztyńców nęcą i pociągają oko. Widok portu i morza lechcą dumę narodową Polaka.

Ludność Gdyni nie jest jednolita, składa się z rybaków, kupców, rzemieślników, marynarzy, znaczną liczbę stanowią letnicy. Obecnie Gdynia może pomieścić 2000 letników, dając im odpowiednie warunki kąpielowe oraz mieszkaniowe.

Nareszcie idziemy nad morze... Takie dziwne wrażenie! Serca nam biją, boć przecież oglądać będziemy nasze kochane polskie morze. Stajemy na drewnianym pomoście, wysuniętym na 100 metrów nad morze, gdzie zawijają statki z Gdańska, Helu i Pucka. Przed nami rozpościera się szmaragdowa toń Bałtyku. Wzrok nasz z rozkoszą błądzi po tych drgających wodnych przestworzach, szukając czegoś jeszcze nieznanego a tak drogiego. Pod nami z szumem przelewają się zlekką spienione fale i z hukiem uderzają o słupy pomostu. Wdali porusza się kilkanaście czarnych punkcików — to łodzie rybackie, w których pracują nasi poczcwiu Kaszubi-rybacy. W niewielkiej odległości od pomostu sunie zwolna maszyna, zwana dragą, a gęste kłęby szarego dymu, wydobywające się z jej kominów świadczą o pracy, jaką wykonuje, przygotowując dogodne miejsce okrętom przez pogłębianie w tym miejscu płytkiego morza. Tuż przy pomoście kołysze się cały

szereg różnego rodzaju łodzi, przy których wre gorączkowa praca. Z portu handlowego, ku wielkiej naszej radości, jedziemy do portu wojennego — łodzią rybacką. Podróż ta, aczkolwiek bardzo przyjemna, trwa bardzo krótko, gdyż w przeciągu kwadransa jesteśmy na miejscu. Tu z wielkiem zajęciem słuchamy objaśnień przewodnika o rodzajach okrętów wojennych i ich działaniu. Największe i najsilniej zbudowane okręty noszą nazwę pancerników. Te biorą główny udział w bitwie, gdyż posiadają ciężkie dalekonośne armaty. Kanonierkami zaś nazywają mniejsze statki, które również posiadają armaty, ale znacznie mniejsze. Torpedowce, długie wąskie statki, nie mają już armat, te zadają ostateczny cios pokonanym okrętom nieprzyjacielskim. Funkcja krążowników polega na podpatrywaniu ruchów nieprzyjaciela. Oprócz tych są jeszcze łodzie podwodne, które, skryte pod wodą, przy pomocy periskopu mogą widzieć, co się dzieje na powierzchni. Jest jeszcze statek, tak zwany wylawiacz min, inaczej trawler, mający specjalne urządzenie do zakładania względnie wylawiania min.

Z portem wojennym łączy się bezpośrednio wznieśnienie, zwane Kępą Oksywską, na szczycie której wznosi się stary niewielki kościółek, przy nim cmentarz z szerokim cudownym widokiem na morze.

Ponieważ program wycieczki obejmował kępę Radłowską albo Orłowską, położoną na południo-wschód od Gdyni, więc tegoż samego dnia udaliśmy się w tę stronę brzegiem morza.

Brzeg w tym miejscu jest wysoki, spadzisty, zbocza małowniczo załesione, urozmaicają krajobraz. Okolica ta pod względem piękności nie ma równej na całym polskim wybrzeżu.

Dnia 23-go, aczkolwiek niechętnie, opuściliśmy Gdynię, kierując się do Pucka, położonego nad zatoką Pucką, na żywej kępie na północno-zachód od Gdyni. Puck, jedyne powiatowe miasto na polskim brzegu, mające za sobą świetną przeszłość, obecnie traci na znaczeniu skutkiem odcięcia zatoki Puckiej od pełnego Bałtyku mielizną „Rewą”. Historia Pucka sięga już XII wieku. Koleje tego miasta są bardzo różne i rola jego była poważna szczególnie w czasie wojen. Sejm z 1642 roku postanowił urządzić tu główny port wojenny i Władysław IV zajął się tem bardzo energicznie — wkrótce też wybudowano port, gdzie stało 12 statków wojennych, oraz arsenał morski, lecz niestety i na tem się skończyło. Rozwój portu został wstrzymany, a co za tem idzie i miasto znacznie podupadło. Obecnie jedynym pomnikiem dawnej świetności jest halowy, trzynawowy kościół katolicki, w stylu gotyckim, z gwiazdżistym żebrowaniem na sklepieniu. Niektóre części tego kościoła, jak dolna część wieży i prezbiterjum, pochodzą z końca XIII w. inne części wybudowano później.

Największą wartość pamiątkową i artystyczną posiada kaplica Weyherów, zbudowana przez wojewodę Ernesta Weyhera. Tu znajduje się

portret jego i żony, oraz grobowiec. W skarbcu przechowało się kilka starych ornatów, między innymi jest jeden suto haftowany z XVII w.

Poniżej kościoła znajduje się mały port, gdzie mogą zawijać małe statki, gdy tymczasem duże stają na kót看icy daleko od brzegu. Na szczególniejszą uwagę zasługuje park miejski nad brzegiem z szerokim widokiem na Hel, zamykający zatokę od północo-wschodu.

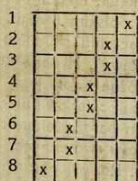


Łamigłówa ułożona przez „Huka”.

- 1) x x x x x x Litery, postawione na miejsce krzyżyków,
2) x . . . dadzą nazwę najszlachetniejszego ucznia.
3) x . . .
4) x . . .
5) x . . .
6) x . . .
- Znaczenie wyrazów:
1) wyraz szukany, 2) Imię żeńskie
3) miasto w Polsce, 4) organ zmysłu,
5) Imię psa (wspak) 6) spółgłoska.

ŻARCIK GEOGRAFICZNY przez „Huka.”

Jaka rzeka w Polsce jest z materji stałej?



Łamigłówwka podana przez „Puka.”

- Litery, stojące na miejscu krzyżyków, czytane z dołu do góry, dadzą nazwę dużego miasta.

Znaczenie wyrazów:

- 1) Imię żeńskie zdrobniałe
- 2) Część ciała
- 3) Część ubrania

- | | |
|---------------------------|------------------------|
| 4) Dawny rycerz | Sylaby: |
| 5) Bardzo pożywna potrawa | a, gło, go, ha, kaw, |
| 6) Lekarstwo na odciski | hu, ka, wa, ra, nia, |
| 7) Zwierzę | re, sza, za, wel, jąc, |
| 8) Zamek królewski. | zar, wa. |

NASZA ANKIETA.

1. Do kogo chciałabyś być podobna i dlaczego?

ODPOWIEDŹ NA ANKIETE

I

„Oj, wesolaż ja dziewczyna,

Wszystko mi się śmieje"...

Podśpiewuję sobie radośnie na myśl, że najtrudniejsze lekcje już przeszły.

przesłaniała szarówkę Świata jeszcze niezapalone... Tak zacinanie i spokojnie w sypialni, choć na chwilę, przylitły się do poduszki i odpocząć... Patrzę w jeden punkt sufitu. Różnobarwny rój płatków i krząków miga pod przynurzonemi rzęsami. Jakies srebrne nitki pajęcze, wpłatające w owe barwy, drżą niewyraźnie, coraz bardziej mogleiste, nieuchwytne, aż na ich tle wyklyta łagodna, spokojna twarz Maryni Polanieckiej, opromieniona masą miękkich bujnych włosów. Dobre oczy patrzą z zadumą na świat, niosąc z sobą pogodę i ciepło. — Ach! w części byś podobną do niej — myślałem niekiedy. Jej słodczy, dobre serce, idealny charakter — cechy, tak właściwe polskiemu kobietom, wzbudzą ją podobne pragnienia.

Hop, hop — leci z wiatrem i echem doniosłe wołanie.

Ze spleątanej gąszczy w wielkich susach wypada stare wilczyisko, a w chwili potem ukazuje się pędząca na zwinnym koniku, z oszczepem w ręku, śmiała, tryskająca życiem Jagienka z „Krzyżaków”. Bystre, śmiałe spojrzenie, opalona chłopięca twarzyczka, spleątane warkocze tworzą śliczny, pełen życia obrazek.

A w ślad za znikającą, tak wdzięczną sylwetką rycerskiego dziewczęcia, leci moje westchnienie: „tyle młodzieńczego ognia i mocy mieć, ile ona miała”...

Jasny księżyc sieje seledynową, drżącą po szczytach drzew poświatę. Na starej sośnie, nawprost tarczy księżycy, odcina się ciemną plamą wspaniały gluszczyk. Nagły strzał i królewski ptak z ciężkim łotem skrzydeł opada martwo na ziemię.

— Reniu. to ty?

Twą wrażliwą duszę nęci czar wielkich puszczy, w których wyrosłaś,
jak dziki kwiat o upojonym zapachu!

Pragne. Reniu, jak ty mieć duszę prostą, szczerą i wrażliwą.

I jeszcze z za skały wysuwa głowę Janosik tatrzański — śmiały typ górala, którego odkołysały wiatry i o którym wieść zasłynęła hen, aż po Węgry. —

Jako bujna natura, milująca nade wszystko dzikie turnie i granie, porywa i tchnie świeżością i siłą.
Owiewa mnie przeczyste tchnienie ukochanych gór i jezior... i tęsknotą za nimi.

Plama na suficie mętnieje, blednie, zanika, pajęczce nici rwą się w strzępy i padają coraz niżej — niżej — i budzę się znów szarą uczennicą w szkolnym mundurku. A gdzieś w umyśle słyszę zwrotkę wiersza Konopnickiej:

„Leciećbym chciała daleko, daleko,
Gdzie z brzoź płaczących srebrne rosy cieka,
Kiedy szum lasu pierś przejmie drżeniem,
Czem jesteś szczęście?... Marzeniem...”

II.

Ideal, z którym przebywałam od zarania mego życia — to moja najdroższa Matuchna. Jej postać jasna, cicha i słodka, opromieniona blaskiem dobroci i miłości, wznosi się ponad tych, którzy mnie otaczają, bo w nim nie znalazłam tyle hartu i mocy ducha, tyle zaparcia się i poświęcenia, tyle wiary i nadziei w świetlane jutro, co w Niej.

Żadna twarz nie ma tego szczerzego uśmiechu, pełnego szczęścia i radości, co Jej, i żadna nie jest taka dobra i taka b. kochana.

Jej dusza to toń przezroczysta, w której odbija się niebo z całą swoją pogodą i jasnością...

Ileż w Jej pracy domowej jest tego cichego męczeństwa i poddania się Bogu, ileż miłości ku Niemu...

Jakiż to drog wzór dla mnie, jak mam żyć i pracować, by osiąść na zawsze niebo...

Kiedy wspomnę sobie ten straszny grom, który zburzył nasze szczęście rodzinne, tę bezlitosną wojnę wszechświatową, na którą zabrano nam Ojca, to wówczas widzę moją Matuchnę spokojną, mężną i zdecydowaną na wszystkie troski i bóle.

Nie podniosła buntu przeciw takiej niesprawiedliwości, nie namawiała Ojca, by szukał ratunku w ucieczce, ale odważnie stawiała czoło groźnej nawałnicy...

Jakkolwiek położenie Jej było trudno i prawie bez wyjścia, nie żebrała litości u ludzi, bo wiedziała, że nad nią może się litować tylko sam Bóg!

Wszystkie też sprawy swoje oddała w Jego ręce.

Charakter Jej czysty i prawy nie znosi najmniejszej krzywdy, dziejać się innym, obłudą i niesprawiedliwością.

Każde zło napędza ją smutkiem i niewypowiedzianym żalem...

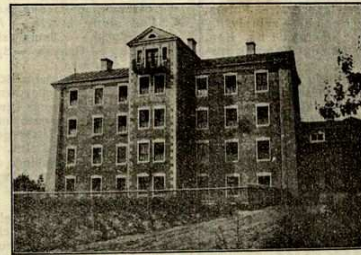
Serce Jej, pełne miłości i ukochania tego, co dobre i prawe, nie zasieka się w miłości ziemskiej, ale sięga ideałów wyższych, świętszych.

Swe dzieci kocha nie miłością ślepa, która nie widzi żadnych wad i niedoskonałości, ale taką, która poprawia te wszystkie błędy, wlewając zarazem do ich serc ukochanie Dobra, Piękna i Prawdy...

Nigdy nie widziałam Jej przechodzącej obojętnie koło nędzy ludzkiej, dla każdego biedaka ma zawsze, oprócz jałmużny, słowa współczucia i liłości.

Niezdolna już jestem pisać więcej o Jej cnotach, dodam tylko to jeszcze, że moja Matuchna to prawdziwy skarb dla mnie.

Do Niej chciałabym być podobną w przyszłości. Chcę tak, jak Ona pracować, cierpieć i kochać...



Gmach mieszkalny naszej Szkoły
z „Wygwizdowem” na czwartym piętrze.

KRONIKA.

20 października. Dziś imieniny panny Ireny B. i p. Ireny R. Jakis, specjalnie miły, nastrój panuje na kursach podczas imienin pań. — Atmosfera kursu robi się wówczas dziwnie uroczysta i odświętna.

24 października. Ku wielkiej i powszechnej naszej radości dowiedzieliśmy się, że i będzienmy mieli aż cztery dni ferij na Wszystkich Świętych.

29 października. Wyjazd! Radosny wyjazd do domu, wprawdzie na krótko tylko. — Jak zwykle pełno gwaru i zamieszania! Nieliczna grupka uczennic pozostaje na święta w seminarjum, więc teraz niektóre z nich pomagają wyjeżdżającym ułomieniom: — „a pamiętaj, napisz!” — inne jeszcze stoją zamyślane, poważne, trochę smutne, że nie mogą być w domu.

2 listopada. I znów wszędzie okrzyki powitania! Minęły święta, choć krótkie, lecz bogate we wrażenia i wspomnienia swojego rodzaju — ostatecznie one minęły, i po krótkiej przerwie trzeba zasiać do nauki.

4 listopada. Pierwszy dzień nowenny do św. Stanisława Kostki — patrona młodzieży. Słodka twarz Świętego uśmiecha się ku nam z wyżyn ołtarza, a gorąca ufność i głęboka wiara spływa z Jego dobrych oczu do naszych serc i tak wtedy jest niezmiernie dobrze...

9-10. 11. 12 listopada. Rekolekcje. Ciche blaski księżyca spowity niską ziemię szmerem światła srebrnych... — gdy w kaplicy marjowskiej Ksiądz Kanonik rozpoczął rekolekcje.

W skupieniu i powadze spędzamy te kilka dni, z myślą, zwróconą ku Bogu i Jego bezmiernej miłości. — Z uwagą wsłuchujemy się w przedobre słowa Ks. Kanonika, wskazującego nam sposób dobrego życia i jego celowość. — Zwolna w duszach naszych nikną wszelkie urazy i żale, a miast nich budzą się szlachetne pragnienia i postanowienia.

13 listopada. Lśniący biel śniegu delikatnym puchem opadła na rozległe pola i sine bory i świat cały stał się taki biały i biały...

I dziwnie! Poprzednie dni rekolekcji były chmurne i dżdżyste, aż rano wieczorem spadł śnieg, zapowiadając przyszłego śnieżnego całunu — i równocześnie nasze dusze pojaśniały w świetle prawd, i one przygotowały się do tej wielkiej bieli, jaką miały uzyskać przez przyjęcie Komunii świętej.

Idźmy właśnie całą naturą ośnieżoną spleciała się z jasnością dusz naszych w jeden wielki i melodyjny akord uwielbienia i czci dla Boga.

Odchodziliśmy od stołu Pańskiego — takie zupełnie inne... lepsze... — Potem, po połączeniu się z Bogiem — zebraliśmy się przy wspólnym z paniami i Ks. Kan. obiedzie, po którym Ksiądz Kanonik rozdawał obrazki.

22 listopada. Z powodu 23-ej rocznicy święceń kapłańskich naszego Drogiego Księdza Kanonika wszystkie zebraliśmy się na sali, gdzie złożyliśmy Mu gorące życzenia.

27 listopada. Dziś odbyła się u nas uroczystość ku uczczeniu walk o niepodległość Polski. Program był następujący:

26 listopada. Legendowy wieczór wróżb „Andrzejki”.

Wysuwane karteczki, palony papier, lany wosk, a następnie wróżba z pantoflami — wszystko to ma swój specyficzny urok i czar. Rozgorączkowane i drżące serca, na widok wyciągniętego różańca — na chwilę, małą chwileczkę, zastanawiają się: — Kto wie... a może? — ... I niby się nie wierzy, a jednocześnie coś tam, wewnątrz szepce gwałtownie: Wszystko możliwe, a więc...

Oj, tajemniczym, bardzo tajemniczym jest wieczór „Andrzejek.”

4 grudnia. „Święta Barbara po lodzie — Boże Narodzenie po wodzie,” głosi przysłowie. Dzisiaj, niestety, dzień mroźny i daleko mu do wody! A więc smutny wniosek, iż Boże Narodzenie nie będzie takim, jakiego pragniemy: suche, mroźne ze skrzypiącym śniegiem. A gdyby się tak przysłowie pomyliło? — och, to byłoby pyszniel!

6 grudnia. Z jasnego szlaku mlecznej drogi spłynął ku Polsce kochany staruszek św. Mikołaj. Po całodziennym wędrowcu zawitał i do nas, do Marjówki wieczorem w towarzystwie dwóch aniołków. Wkrótce szatańskim sposobem wkręciło się również dwóch djablików, przeszkadzając aniołkom w roznoszeniu listów i śmiejąc się z niektórych naszych zwyczajów. Św. Mikołaj zaś ogłosił publicznie niektóre nasze przekroczenia, a następnie dał nam kilka wsk-

zówek na życie. Potem jeden z aniołków powiedział wierszyk, a drugi opowiedział bajkę.

11 grudnia. Grupa literacka urządziła akademię ku czci Asnyka i Ujejskiego w 30-tą rocznicę ich śmierci.

Na program złożyło się:

1. Deklamacja — Cześć poetom! — wygłosiła Rymarczykówna.
2. Asnyk w świetle swych utworów — referat — Ciasiówna.
3. Echo kołyski — wiersz Asnyka melodeklamacja — Tokarska.
4. Pod stopy krzyża — Asnyka — deklamacja — Olechowska.
5. Stonko — Asnyka — śpiew, wykonał chór szkolny.
6. Ujejski i jego twórczość — referat — wygłosiła Z. Klopszówna.
7. Za służbą — wiersz Ujejskiego — deklamacja — Langerówna.
8. Modlitwa — Ujejskiego — śpiew — wykonał chór szkolny.
9. Akt wiary — Ujejskiego deklamacja — wygłosiła Wolańczykówna.
10. Chorał — Ujejskiego — wykonał chór szkolny.

19—17 grudnia. Już sesja!... Ciekawość co o nas mówią, nie daje chwili spokoju. Żeby choć troszke, choć troszeczkę usłyszeć — Jednej z uczennic udało się wkręcić do kancelarii pod sofę, naraz... o losie okrutny! — pani dyrektorka odsuwa sofę i wszystko przepadło!

Niestety niezawsze sprzyja szczęścia naszym pragnieniom i zamiarom, zresztą bardzo niewinnym!

Sesja w naszym pojęciu to jakaś niezbyt czysta sprawa, bo któżby to coś dobrego tak bardzo ukrywał i takie zachowywał ostrożności, nieprawdaż?

18 grudnia. Siarczysty mróz Brłl Zmarznięty śnieg wygrywa pod stopami skrzypiąc melodyjnie: mrrróż... mrrróż... mrrróż piszcza śnieżne płatki, mocno przytulone do siebie. Mróz — woła zimna, przejrzy sta toń powietrzna.

Mróz — dysze ziemia w uścisku lodowym.

A filut mróz usiadł na szybach, trzęsąc siwą głową maluje śliczne obrazki z krainy cudów — i nic kompletnie nie robi sobie z wokół szerczących się narzekań.

Tymczasem my naprawdę jesteśmy zaniepokojone, tem bardziej, że słysząc głosy, iż jeżeli nadal tak będzie, to nie pojedziemy. Oho! pomylił się ten ktoś, kto tak powiedział, bo zimno nas nie przestrasza bardzo. Oj, a tak się już serdecznie chce być w domu!

Redaktoraka odpowiedzialna: Irena Bagińska.

Adres Redakcji: SEMINARIUM NAUCZ. ŻEŃSKIE W MARJÓWCE P. PRZYSUCHA.

Druk szkoły rzemiosł w Marjowce.